



I

Dwie Wisły

Wieczorem nad Wisłą zaczęły się zbierać ciemne chmury. Teraz, po zmroku, przysłoniły już całe niebo. Ochorowicz widział tylko nieco jaśniejszy szlak drogi prowadzącej do domu. Idąc, musiał mocno trzymać kapelusz i mrużyć oczy. Zaraz po tym, jak wyszedł z domu przyjaciela, zaczęło przeraźliwie wiać. Niesiony z wiatrem piasek sypał prosto w oczy. Pogoda wydawała mu się odbiciem własnych niepokojów. Był wściekły. Bezcelny letnik, nieproszony gość, zepsuł mu wizytę u Julka, księdza Burschego, protestanckiego duchownego i młodszego kolegi, z którym planował dyskutować do białego świtu. Najpierw mieli omówić sprawę założonej wspólnie Macierzy Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego, a potem, już w spokoju, w – jak to nazywali – przyjacielskim laboratorium idei, zetrzeć światopogląd naukowy z religijnym. Kochał te ich dyskusje i czasem czekał na nie długie miesiące, oddzielające kolejne wizyty w Wiśle. Nie było łatwo ustalić dogodny dla obu termin, bo dużo czasu spędzali w rozjazdach. Tym razem się udało. Niestety, zaraz na wstępie spotkania, do „Zacisza”, willi Julka, wprosił się ten suchy nordycki typ. Wykorzystał dobre wychowanie gospodarza i fakt, że jako letnik pomieszkuje u Ochorowicza i bezczelnie dosiadł się do stołu ich przyjacielskich obrad. Julian czuł się tak, jakby ten Glauer, ten prymityw z Drezna, wszedł w buciorach ubłoconych swoimi pogańskimi ideami na ich stół i pobrudził śnieżnobiały obrus pokojowej dysputy.

Najpierw obraził gospodarza, nazwawszy chrześcijaństwo zabobonem, a potem zaczął wychwalać starszego z przyjaciół, nazywając go wybitnym spirytystą. Jego, Juliana Ochorowicza, docenta psychologii empirycznej, szkiełkiem i okiem wrywającego naturze tajniki mediumizmu.

Wiatr uderzył z taką mocą, że mężczyzna, by stawić mu czoło, musiał przystanąć. Z trudem pokonywał napór niewidzialnej mocy. Sił staremu ciału dodawała złość, bo w myślach powróciła scena sprzed zaledwie kwadransa, podczas której wstał od stołu i wykrzyczał: „Herr Glauer, ja się nie zajmuję badaniem duchów i magicznych sił, a naukowym wyjaśnieniem zjawisk stojących za niezwykle dziwnymi zjawiskami mediumizmu i hipnozy”. Na co ten niemiecki prymityw zareagował, nazywając go mistrzem i tłumacząc, że jego grupie okultystycznej chodzi o dokładnie to samo: wyjaśnienie zagadki pradawnych bytów. Julian nie mógł tego znieść, przeprosił gospodarza, pożegnał się i wyszedł. Nie mógł ryzykować, że dysputa z nieznanym świętości drezdeńskim fircykiem skala dom przyjaciela jakimś większym bluźnierstwem. Co gorsza, ten szkopski modniś, ta saksońska chudzina, wybiegł za nim z „Zacisza” i próbował kontynuować swój monolog na ulicy. Na szczęście pogoda nie sprzyjała zarówno przemówieniom, jak i utrzymaniu się wątego niemieckiego ciała w pionie. Glauera niemal zmiotło w przeciwnym kierunku, a potem musiał pobiec za odlatującym w mrok kapeluszem.

– Mamy dwudziesty wiek, tysiąc dziewięćset dwunasty rok, a wracają szarlatany i rogate dziady – mówił do siebie Ochorowicz, wchodząc na ganek swojej willi. Nacisnął klamkę, ale drzwi wejściowe nie ustąpiły. Zapukał mocno w szklaną szybę. Już po chwili światło lampy rozjaśniło pomieszczenie za oknem. Drzwi otworzył mężczyzna z imponującym wąsem.

– A pan tak wcześnie? Myślałem, że dopiero po północy będzie...

– Niech Karol nie pyta, zaraz tu za mną przylezie ten niemiecki czart.

– Pan Glauer, znaczy się...

– Pan to on dla mnie będzie, jak jakąś szkołę przyzwoitą skończy... albo się przynajmniej ochrzczi.

Za plecami Ochorowicza błysnęło i przez chwilę przeszło mu przez myśl, że gdzieś tam w ciemnościach naprawdę czai się diabeł. Rogaty, w ciele chudego Saksończyka. Zaśmiał się do własnych myśli.

– Zamykam się w swoich pokojach i gdyby Niemiec chciał rozmawiać, to mu Karol powie, że śpię i jutro do obiadu nie wstaję.

– Kolację podać?

– Jemu, jak będzie chciał, podawać. Gość to gość, nawet jak siarką śmierdzi. A ja dziękuję.

Poszedł do swojej sypialni, musiał się rozpakować. Nie było go w Wiśle przez ostatnie kilka dni. Po południu wrócił z serii odczytów, swoje bagaże wysłał bryczką do domu, a sam ruszył na, jak się okazało, nieudane spotkanie z przyjacielem. Pół godziny później zasiadł w fotelu i wystawił stopy w stronę kominka. Płomienie wesoło skakały po sękatych polanach. W szyby zaczęły walić pierwsze krople deszczu. Z Ochorowicza wciąż schodziło napięcie. Było mu tylko głupio przed księdzem Burschem, że w jego obecności dał się tak łatwo wyprowadzić z równowagi. Postanowił z rana wpaść do Julka, przeprosić i zaproponować górski spacer, podczas którego wróć do przerwanej rozmowy. Za oknem grzmotnęło i wysokie sosny wyznaczające granicę obejścia załała biała poświata. Jego ciało przeszył dreszcz. Atmosfera sprzyjała myśleniu o nadprzyrodzonych siłach, które chciały się wyrwać pomiędzy kart bajek i klechd. Pomyślał, że tak działa ludzki umysł, i nawet on, człowiek światły, błędzi, kiedy natura tworzy nastrój grozy i tajemnicy. Emocje powołują do życia demony, które wracają tam, gdzie ich miejsce, kiedy na scenę wkracza logika i naukowa dyscyplina. Uśmiechnął się lekko, myśląc o moknącym na zewnątrz niemieckim okultyście, a potem zrobiło się mu go żal, bo mizerny był i zapalenia płuc mógł dostać. Zdecydował się wysłać Karola na jego poszukiwanie. Wziął do ręki lampę naftową i ruszył przez pokój. Światło objęło wiszący na ścianie obraz. Prezent, który dostał na ostatnie urodziny od znajomego lekarza, miłośnika artystycznych osobliwości. Ochorowicz zerknął na płótno kątem oka i był już przy drzwiach, kiedy doszło do niego, że coś jest nie tak. Cofnął się o dwa kroki i jeszcze raz, tym razem uważnie, przyjrzał się obrazowi. Światło lampy było słabe, ale i tak widział, że coś się zmieniło. Malowidło wisiało na tej ścianie od kilku miesięcy, ale w prawym dolnym rogu znalazło się coś, czego wcześniej na nim nie było. Podeszedł bliżej i doświetlił interesujący fragment. Zaśniła świeża warstwa farby. Za oknem znowu błysnęło, a Ochorowicza niemal rzuciło do tyłu. Zobaczył to. Dostrzegł szczegóły domalowane czyjąś ręką do dzieła sztuki. Szczegóły, których jeszcze rano na nim nie było. Serce mężczyzny omal nie wyskoczyło z piersi, bo na malowidle ktoś dodał postać klęczącego człowieka. Rozpoznał jego twarz, bo codziennie oglądał ją w lustrze.



Karol na spóźnionego gościa zdecydował się czekać na kuchennej ławie, w pozycji leżącej. Akurat zapadał w słodką drzemkę, kiedy ktoś zaczął go szarpać za koszulę.

– Obudź się człowieku! – błagał go znajomy głos. Z początku myślał, że to sen, ale kiedy otworzył oczy ujrzał pana Ochorowicza ubranego w sztywny, przeciwdeszczowy płaszcz. – Już, wstawaj! – Karol uznał, że to nie senna mara, bo tak krzyczy się tylko na jawie.

– Pan wychodzi? – Przetarł oczy i spojrzał na okno, w które chlustała ulewa.

– Nie zostanę tu ani chwili dłużej! – krzyczał przerażony uczony. – Do rana masz spakować moje rzeczy, wyjeżdżam do Warszawy...

– Ale jak tak? Nagle...?

– Słuchaj człowieku... – Strach w głosie i spojrzeniu Ochorowicza zastąpiła nuta szaleństwa. – Słuchaj, bo to najważniejsze! Pójdiesz do salonu i zdejmiesz ze ściany to malowidło, co wisi po prawej od kominka. Potem podrzesz to, porąbiesz, zniszczysz i spalisz. Nie chcę tego więcej widzieć!

– Ale gdzie pan teraz?

– Znajdziesz mnie u księdza Burschego. – Ochorowicz wyprostował się i ruszył w kierunku drzwi. – Mam nadzieję, że udzieli schronienia duszy, którą z ciała chcą wyrwać demony.

Karol ruszył za panem przez izbę i przedpokój, zatrzymał się dopiero w otwartych drzwiach wejściowych i patrzył, jak Ochorowicz naciąga na głowę wielki kaptur. W ostatniej chwili pan odwrócił się do niego i przekrzykując wicherem zawołał: – Spal to, Karol, a potem... najlepiej umyj ręce w święconej wodzie!



Gdyby pan Ochorowicz zdecydował się spływać do Warszawy rzeką, dotarłby na miejsce po przepłynięciu około pięciuset kilometrów. Właśnie tam, z kilometr od wiślanego brzegu, ponad wiek później, siedziałam na lekcji historii i gapiłam się za okno. Nie to, żeby historia mnie nudziła, ale dzieje

rodu Radziwiłłów miałam w małym palcu, a przerabialiśmy akurat ten rozdział podręcznika. Spojrzenie miałam niewidzące. Takie, kiedy człowiek niby śledzi ruch na chodniku po drugiej stronie ulicy, ale w rzeczywistości nie potrafiłby powiedzieć, czy szła tamtędy grupa przedszkolaków, czy zagrzewający się do walki oddział Wizygotów. Myślałam o Józku, o tym jak głupio to między nami wyszło, jak się posypało¹. Niby się rozstaliśmy, ale mało oficjalnie, bo przez telefon. Potem do niego dzwoniłam, chciałam wszystko odkręcić. Nie odbierał. W normalnych warunkach próbowałabym wpaść na niego przypadkiem, na mieście, ale że mieszkał w Wilnie, pozostał mi tylko telefon. Nie zrozumcie mnie źle, normalnie nie jestem z tych, co prześladują i nie pozwalają rozpocząć następnego rozdziału w życiu. Po prostu po kilku tygodniach milczenia zdałam sobie sprawę, że nie mogę o nim zapomnieć.

– Alina, rozumiem, że ciebie to nie dotyczy? – Nauczyciel oderwał mnie od widoku za oknem.

– W kwestii Barbary Radziwiłłówny jestem gotowa odpowiedzieć na wszystkie pytania – odparowałam Wójcikowi, naszemu wychowawcy, którego ze względu na wyuczony zawód nazywaliśmy Historem.

– Jesteśmy już pięćset lat później, a pytanie jest związane z prezentacją, którą macie przygotować na szkolnym wyjeździe.

– A jeśli tak, to przepraszam.

– To jaką postać chcesz nam zaprezentować?

– Może...?

– Nie, to nie może być Barbara Radziwiłłówna, Zygmunt August, Bona, ani święty Kazimierz – wszedł mi w słowo. – Interesują nas tylko postaci historyczne z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku.

W tym momencie poczułam drżenie w kieszeni, to była moja komórka. Wibracje miałam włączone tylko przy najważniejszych numerach telefonów, więc dodatkowo się spałam.

– A czy mogę prosić o czas na przemyślenie sprawy?

– Miałaś na to cały tydzień.

¹ W jakich okolicznościach Józek pojawił się w życiu Aliny, przeczytacie w powieści *Aligator w Wilnie*, a jak potoczyła się ich historia, sprawdzicie, zaglądając do *Wielkiego skoku Aligatora*.

– Ale ja muszę – zrobiłam najbardziej błagalną minę, na jaką było mnie stać – muszę za potrzebą.

– Akurat teraz?

– Nic nie poradzę.

– Dobra, leć, ale pojutrze, w czasie zbiórki pod autobusem, mam dostać twoją propozycję postaci do opracowania. Nie upieczcie ci się.

– Dzięki – rzuciłam, zrywając się w stronę drzwi. – Znaczy, dziękuję, panie profesorze. Nie zawiodę pana. Postać będzie, że mucha nie siada.

Wyskoczyłam na korytarz i zaraz zniknęłam za drzwiami ubikacji. Wyciągnęłam telefon, który właśnie wpadł w drugą fazę wibracji.

– Słucham – wyszeptałam, odbierając nieznaną numer.

– Halo, Aligator? Jesteś gotowa na szkołę życia? – to był Boguś. Bardzo ważna postać w moim życiu, archeolog, taki trochę mój mistrz, mentor, no jak Yoda dla Luke’a Skywalkera. Człowiek, który miał mnie przygotować do ciężkiej pracy zawodowego poszukiwacza skarbów, ale to już trochę inna opowieść².

– Jeśli chodzi o szkołę, to teraz mam historię.

– A co robisz w weekend?

– Jadę na szkolny wyjazd, na cały tydzień.

– Myślę, że czeka cię szkoła, ale zupełnie innego rodzaju.

– Boguś, żeby odebrać ten telefon urwałam się z lekcji. Poproszę wersję bez zagadek, w skrócie.

– Pastuj buty, pakuj plecak. Przygoda czeka. Jedziesz w góry.

– Kiedy? Już? Tak po prostu?

– Jedziesz Beskid Śląski, spotkać się z moją znajomą. Kazina zrobi ci taki mały survival. Dowiesz się, z których liści można ugotować gulasz i jak naostrzyć nóż zapalką. Obiecałem ci naukę ciężkiego fachu poszukiwacza skarbów? To zaczynamy.

– Tak nagle? Ja mam szkołę, ten wyjazd...

– Spokojnie, łażenie po górach z Kaziną pokrywa się z twoim wyjazdem szkolnym. Stracisz kilka nudnych lekcji, dyskotekę szkolną i piżama party z dziewczynami z klasy, a zyskasz wiedzę niezbędną podczas epidemii zombie.

² Co łączy Alinę z Bogusiem, dowiedcie się, czytając powieść *Wielki skok Aligatora*.

– Ale jak ja to załatwię w szkole, tak nagle. A ojciec...?

– Z tego co wiem, twój starsuszek właśnie wybiera się w delegację. – Bogus był dobrze poinformowany, ojciec szykował się do wyjazdu służbowego, pierwszego od czasu, kiedy przeniósł się w pracy za biurko. Od dwóch tygodni mówił tylko o argentyńskim klimacie, zabytkach i pomnikach przyrody, bo leciał na wizytację do południowoamerykańskiej Polonii. – Jeśli chodzi o szkołę to musisz coś wykombinować. Sławo na pewno ci pomoże.

Faktycznie dziadek był pierwszą osobą, która przysłała mi do głowy. Już miałam załazek planu, który opierał się na wyolbrzymieniu jednego faktu i wciągnięciu do spisku kochanego starsuszka. Odmówić Bogusiowi nie mogłam, a raczej nie chciałam. Za jego propozycją kryła się kolejna przygoda, a wyjazd z klasą nad Zalew Sulejowski wiał nudą.

– Dobra, wchodzę w to.

– Świetnie, a teraz pakuj wygodne trapery, kowbojki zostaw w domu, za ciężkie. Weź też kurtkę przeciwdeszczową, a nie tę swoją przetartą skórę. Jakiś sweter, czapkę, wygodne spodnie. Powinno wystarczyć. To góry, a nie rewia mody. Zresztą, jeśli czegoś ci zabraknie, to Kazina o ciebie zadba.

– Przestań mi grzebać w szafie, wezmę co mi się podoba, na szlaku trzeba jakoś wyglądać... Profesjonalnie, a nie na miejskiego leszcza. – Oczyma wyobraźni już widziałam, jak zadają szyku na szlaku w swoim nowym traperskim kapeluszu.

– Rozumiem, praktycznie, ale z klasą.

– A ty do nas dołączysz?

– Nie, mam kilka spraw do załatwienia, dosyć daleko i w tym samym czasie. Na korytarzu rozległ się dzwonek.

– Muszę kończyć.

– Spoko, zaraz prześlę ci namiary na Kaziń. Na razie, Aligator.

Zapomniałam dodać, że Aligator to moja ksywka, już od podstawówki prawie wszyscy tak na mnie wołają.

Schowałam telefon i ruszyłam na korytarz. Wchodząc do klasy, musiałam przebić się przez płynącą w przeciwnym kierunku rzekę ludzi. Histor, patrząc na mnie, nie wyglądał na zadowolonego.

– Alina, coś ci chyba zaszkodziło? Grypa żołądkowa? Mam nadzieję, że nie złapałaś nic na mojej lekcji?

– Bardzo przepraszam. – Zrobiłam przesłódką minę jednorożca strzelającego z nosa tęczą. – Kiedy wychodziłam z toalety, zadzwonił mój dziadek. Miał wypadek, spadł ze schodów, połamano się, muszę... Wygląda na to, że będę musiała się nim zająć przez kilka dni. To znaczy, że...

– Z wycieczki nici? – Histor trafił bezbłędnie.

– Na to wygląda.

Tak naprawdę za bardzo go nie oszukałam, Sławo zaraz po powrocie z naszych wakacji na Maderze złamał nogę. Dokładnie to fiknął kozłą, wychodząc z samolotu. Złamanie nie było poważne, a moja opieka zbędna, ale gips prawdziwy.

– Rozumiem, sprawa rodzinna, ale robota cię nie ominie. Odpadasz z prezentacji, więc przygotujesz mały esej na ten sam temat...

– Nie ma sprawy!

– No i karteczka od rodziciela się przyda.

– A może być od dziadka? Bo tato właśnie wyjeżdża w delegację. – Musiałam uzgodnić szczegóły z Historem, bo był naszym wychowawcą.

– Dziadek lub babcia mogą być, ale dalszego pokrewieństwa już nie zniosę.

– Jutro wpadnę z usprawiedliwieniem. – Rzuciłam, zabierając plecak spod biurka.

Historia była tego dnia ostatnią lekcją. Wybiegłam ze szkoły i pognałam w kierunku ulicy Marszałkowskiej. Mój plan wymagał szybkiego przedostania się środkami transportu miejskiego w okolice Hali Mirowskiej. Zmachana wpadłam do autobusu i przez następne kilka przystanków zbierałam siły na przebiegnięcie pół kilometra dzielącego mnie od skrzyżowania przy Ogrodzie Saskim do Hali Mirowskiej. W sumie pokonanie całej trasy spod szkoły zajęło mi pół godziny. Stałam przed najlepszym w Warszawie marketem greckim, lichym stoiskiem przyklejonym do ceglanej ściany hali targowej, i nie mogłam wypowiedzieć ani słowa. Musiałam najpierw uspokoić oddech.

– Bakławę, tę na oliwie... poproszę – wysapałam, a rumiany sprzedawca położył na ladzie sporych rozmiarów baton lśniącego przysmaku.

– Ile? – zapytał, przykładając pośrodku nóż.

– Wszystko! – rzuciłam, wyciągając z kieszeni swój cienki portfel. Na ten ulepek z orzechami poszła prawie cała reszta mojej tygodniówki. Sporo, ale miałam nadzieję, że to się opłaci. Skąpe fundusze jeszcze bardziej uszczuplił kolejny zakup.

Nie mogłam sobie odmówić czerwonej oranżady, którą sprzedawali na kolejnym stoisku. Byłam spragniona po tym sprincie przez Śródmieście. Gazowany napój był wspaniały, chociaż pewnie słodszy od baklawy, którą miałam w plecaku.

Kolejne pół godziny później siedziałam już na kanapie i wyjmowałam z plecaka zawinięty w tłusty papier długi prostokąt. Położyłam go na stoliku, tuż obok leżącej na blacie nogi w gipsie.

– Jest sprawa – powiedziałam, patrząc Sławowi głęboko w oczy.

– Propozycja! – Oczy mu się zaszklily.

Przysunęłam zawiniątko bliżej, tak żeby sam mógł do niego sięgnąć i rozwinęłam papier, pokazując zawartość.

– Propozycja nie do odrzucenia. – Obliznął usta pod wąsem. – Przynieś talerzyki.

Zacęłam wstawać, ale dziadek powstrzymał mnie mówiąc: – Albo nie. Mamy mało czasu, babcia zaraz wróci ze spaceru z psem.

Wyciągnął z kieszeni koszuli mały scyzoryk i skierował w moim kierunku: – Krój. Już mnie kupiłaś, teraz chcę wiedzieć, za co zapłaciłaś.

Ukroiłam szeroki kawałek baklawy, a Sławo wsunął go sobie całego do ust. Kiedy przeżuwał, łyż szczęścia napłynęły mu do ust.

– Sprawa jest prosta. Potrzebuję alibi na kilka dni i zaświadczenia do szkoły. Miałam jechać na wycieczkę szkolną, ale pojawiła się o wiele bardziej atrakcyjna możliwość.

– Przygoda? – powiedział z pełnymi jeszcze ustami.

– Dokładnie, ale z tych mniej awanturnych. Raczej mały wypad w góry.

– Jak z chłopakiem, to nie wiem, czy mi sumienie pozwala – zamlaskał, przełknął i pokazał palcem, że mam ukroić jeszcze jeden kawałek.

– Nie, z doświadczoną przewodniczką...

Ukroiłam i podałam mu nadziany na ostrze kawał tłustego ciasta z orzechowym nadzieniem. Wziął je w tłuste paluchy i znowu wsadził sobie w usta w całości. Nic nie mówił, chyba miał wątpliwości.

– ...ale cały wypad zorganizował Boguś – dodałam, mając nadzieję, że podanie imienia znajomego, z którym spędziliśmy wakacje na Maderze pomoże dziadkowi podjąć decyzję.

Świecące od tłuszczu usta rozpromieniły się w uśmiechu. Przełknął kolejny kawałek.

– Trzeba było od razu, że za tym stoi. Pokochałem chłopaka. Gdyby twój ojciec nie był zazdrosny, to bym go adoptował.

– Czyli podpiszesz zgodę? – ucieszyłam się i już zaczęłam szukać zeszytu z czystą kartką do wyrwania.

– Ale są warunki!

– Dokroić? – Puściłam plecak i zaczęłam sięgać do leżącego obok bakławy scyzoryka.

– Nie, nie dam już rady, ale ty się częstuj.

– Dziękuję, zostawmy trochę dla babci.

– Chyba żartujesz? Jak znajdzie tu oliwkową bakławę, to od razu się skapuje, że ubiliśmy jakiś szemrany interes. Dostaniemy naganę z wpisem do akt, a ty zamiast na wyprawie w góry wylądujesz w areszcie domowym. Chowaj to do szafki, tam w biurku... i podaj mi chusteczkę, muszę zmyć dowody.

– A twoje warunki?

– Codzienne meldunki i uroczysta przysięga, że będziesz unikała guza. No i zamiary na tę twoją przewodniczkę, tak na wszelki wypadek.

– Okej! – Podałam Sławowi paczkę chusteczek i wsadziłam przysmak do wskazanego schowka.

– Zamknij, a klucz schowaj pod paprotką – poinstruował, ścierając z ust słodką oliwę.



Byłam wykończona całym dniem siedzenia w budzie i bieganiem po mieście. Prosto od dziadka poszłam na przystanek. Wsiadłam do zatłoczonego tramwaju i nieco śnięta starałam się utrzymać równowagę, jedną ręką trzymając się słupka, a drugą przyciskając do siebie torbę. Na tej linii trzeba było uważać na kieszonkowców. Cwaniaki lubiły wsiadać w centrum i wyskakiwać już za Wisłą. Ze swojego miejsca widziałam niewiele z tego, co działo się poza wagonem. Gdzieś pośrodku mostu Poniatowskiego tramwaj gwałtownie zahamował. W jednej chwili stałam się elementem ludzkiego domina. Może i utrzymałabym się na własnych nogach, ale dociążył mnie chudzielec z długimi włosami. Tylko dzięki mocnemu uściskowi stojącego za mną faceta nie wylądowałam na podłodze.

– Sorki – pisał patyczak w blackmetalowej koszulce, a ja kiwnęłam głową na zgodę i odwróciłam się do swojego wybawcy, który próbował mi pomóc wrócić do pionu.

– Dzięki – rzuciłam prosto w rumianą twarz koleś w dresie. Uśmiechnął się i wymruczał coś w stylu „nie ma sprawy”.

Żeby nie ryzykować kolejnego upadku wzmocniłam swoją pozycję, łapiąc drugą ręką za drążek pod sufitem.

Dziesięć minut później byłam już na Kamionku. Mały spacerek wśród pozostałości przedwojennych fabryk wysał ze mnie resztę energii. Weszłam do domu. Ojciec jeszcze nie wrócił, to był jego ostatni dzień w pracy przed wyjazdem. Ruszyłam do swojego pokoju. Rzuciłam się na łóżko, poleżałam chwilę w ciszy i nagle poczułam głód. Do lodówki było strasznie daleko, ale przypomniałam sobie o niedojedzonej kanapce, której nie dałam rady pochłonąć w szkole. Ojciec kroił strasznie grube pajdy chleba. Sięgnęłam po torbę i zaczęłam w niej grzebać. Kanapka ukryła się pod którąś książką lub zeszytem. Wisząc z głową i rękami poza krawędzią łóżka wysypałam wszystko na podłogę. Przeklęłam cicho, widząc, że okrągły słoiczek z kremem potoczył się pod szafkę nocną. „Trudno” – pomyślałam i spojrzałam na leżące przede mną ciężary. Codziennie dźwigałam to wszystko do szkoły i z powrotem. Poza jedną rzecz. Na samym wierzchu, tuż obok zawiniętej w sreberko kanapki leżała niewielka książka. Jakieś starocie. Oprawiona w zielony materiał, miała poprzecierane rogi i nosiła ślady tłustych łap kilku pokoleń czytelników. Kartki były postrzępione. Nie ulegało wątpliwości, że książka nie była podręcznikiem do historii ani polaka, a już na pewno nie należała do mnie. Ktoś grzebał mi w torbie. – W tramwaju – wyszeptalam. – Rumiany koleś w dresie. – Pasował mi na kieszonkowca. Od razu zaczęłam szukać portfela. Był pod zeszytem. Niczego w nim nie brakowało. Sięgnęłam po książkę. Otworzyłam ją i przeczytałam tytuł: Mały przewodnik po historii i krajobrazie Śląska Cieszyńskiego. Wydanie z 1949 roku. Zaczęłam kartkować kolejne strony i po stemplach doszłam do tego, że należała kiedyś do księgozbioru biblioteki w Bielsku Białej. Gdzieś pod koniec książki, pomiędzy kartek, wystawał pasek materiałowej zakładki. Otworzyłam przewodnik w zaznaczonym miejscu. Po lewej, na parzystej stronie, czerwonym długopisem zakreślono fragment tekstu. To była notka biograficzna.